Rok 1935. 6 stycznia. Nr. 2.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

Wózek Gwiazdora.

(*Dwaj kolędnicy wchodzą: I z gwiazdą, II z szopką*).

I: Hej, hej, ludzie! jest kto w chacie?
Niech tam z progu śnieg odmiecie!
Zobaczycie, posłuchacie...
Z szopką chodzimy po świecie.
II: Dziwni my są wędrownicy,
Którym na mrozie wesoło.
I: Z gwiazdą przyszlim kolędnicy,
Niech dzieci staną tu w koło...
II: I niech każde popamięta
Nasze słowa, nasze znaki.
I: A są tu dobre dziewczęta?
A grzeczne są tu chłopaki?
II: Bo to przecie Gwiazdki pora,
Więc i kłopot z podarunkiem.
Ot, spotkali my Gwiazdora
Z wielkim na czole frasunkiem.
I: Patrzę — Gwiazdor wózek toczy,
A wóz calutki z gwiazdeczek.
II: Oj, zaświeciły się oczy —
Taki mieć sobie wózeczek!
I: A tu prosto w ten dom oto
Stary Gwiazdor wózek wlecze.
Z gwiazd u kółek kapie złoto
I po drodze jak miód ciecze.
II: Pewnie wóz ten wszystkie dzieci
Zawiezie w niebo gwiaździste,
Bo w ich sercach cnota świeci
I takie duszki ich czyste.
I: A wtem Aniołka rączęta
Ciągną Gwiazdora za szatki.
Wóz wstrzymuje postać święta.
Niegrzeczne w domu tym dziatki!
II: I zajechały gwiazdeczki
Do chateńki krytej strzechą.
Toż tam szczęśliwe dziateczki
Wózek witały z uciechą.
I: Ale za rok gdy nastanie
Nowe Boże Narodzenie,
Tu Gwiazdora wózek stanie —
U was już znajdzie schronienie.
II: Przecież jeszcze rok przed wami,
Czasu dość, by się poprawić.
A dostać wózek z gwiazdami —
Ach, byłożby się czem bawić!

Wujcio Kazio.

Jak został wynaleziony druk.

W Holandji w wieku piętnastym żył zakrystjan nazwiskiem Koster. Był młody i zdolny, a zwłaszcza zręcznie umiał wyrzynać na drzewie obrazki. Raz na świeżem drzewie wyciął litery swojej narzeczonej, potem całe jej imię, z myślą, że wybrawszy się do niej w niedzielę, zrobi jej z tego podarunek. Tymczasem zawinął wszystko w papier. Kiedy nadeszła niedziela, rozwija papier, a na nim widzi najwyraźniej odbite imię, jakby je kto wypisał. Zrozumiał, że litery wycięte ze świeżego drzewa puściły sok i poznaczyły papier jakby farbą. Koster wpadł odrazu na myśl, że z tego można będzie skorzystać.

Odtąd wyrzynając na drzewie obrazki, kładł pod spodem napis, później smarował deseczkę farbą, przykładał do papieru i odbijał mu się odrazu obrazek świętego z imieniem. Potem na deskach wyrzynał tak całe modlitwy,

i nawet spróbował wyciąć całą książkę. A było to w czasie, gdy na to, by powstała książka, trzeba było mieć cierpliwość napisania jej ręcznie. Koster na gładkiej desce wycinał litera po literze całą stronę, tak, że się tam robiło drewniane wypukłe pismo, tylko wszystkie litery były w niem odwrócone na lewo, żeby potem przy odbijaniu wychodziły jak należy. Później litery napuszczał farbą i odciskał na papierze.

Z tego już była prawdziwa strona drukowana. Później brał drugą deskę i wyrzynał na niej drugą stronę — i tak dalej. Była to robota mozolna, ale jeżeli trzeba było więcej egzemplarzy takiej książki, to prędzej i taniej można je było tym sposobem odbić, niż przepisywać.

Przy tej robocie zastał Kostera w swej podróży po Holandji Niemiec Gutenberg. Przypatrzył się, zastanowił — i naraz jakgdyby jakaś błyskawiczna jasność rozświetliła mu myśl...

— A gdyby zamiast całych stron wyrzynać z drzewa same litery, każdą oddzielnie na maleńkiej deseczce... Toż takie litery drewniane możnaby ustawiać jedną przy drugiej, układać z nich całe wyrazy, a z wyrazów strony i całe książki...

Po powrocie od Kostera zamknął się Gutenberg w swoim warsztacie i siedział dzień i noc z piłką, pilnikiem i innemi narzędziami, wyrzynając litery, dopóki nie skończył całego abecadła — i dopiero mając w ręce te nowe ruchome litery, zrozumiał, jak wielki dla ludzkości zrobił wynalazek.

Umierając, przekazał światu istny skarb: sztukę drukarską. W kilkanaście lat po śmierci Gutenberga, już wszędzie istniały drukarnie, z których wychodziły jedne po drugich książki, by nieść między ludzi światło wiedzy.

A. P.

JASNA PANI.

Obrazek sceniczny. Napisała Ela Oleska.

(Ciąg dalszy)

KARLIK I: (*staje w pośrodku i szepcze, wskazując na Strażnika*) Chodźmy do niego, bo i mnie się zdaje, że ja mam głowę z zielonych liści... (*zamyśla się, nie mogąc też sobie przypomnieć nazwy*).

KARLIK II: (*z trudem wymawia*) Kapu... kapu...

KARLIK III: (*dobitnie*) Pusty!

WSZYSCY RAZEM: Kapusty.

KARLIK I: Chodźmy już, chodźmy do niego. (*idą wolno ku Strażnikowi*)

STRAŻNIK: (*odwrócony, smutno mówi sam do siebie*) Och, gdybym nie był jej nigdy poznał! (*wyciągając ręce przed siebie*) Taka piękna, taka dobra, Jasna Pani!... a jam ją porzucił! (*spostrzegając przy sobie Karliki, gniewnie*): Czego znów chcecie odemnie?

KARLIK III: (*pokazując palce z paznokciami jak pazury długiemi*) Powiedz nam co to...

KARLIK II: (*wskazując na kark*) A patrzaj, mnie siedzi tu...

KARLICZKA III: (*trzymając się za głowę*) A moja zielona...

STRAŻNIK: (*wstaje i mówi napół porywczo, napół z bólem*) Ja wam nic nie poradzę, nic poradzić nie mogę, bo ja sam głupi, głupi niby karzełek, jak wy w ciemności żyjący. Sam sobie jestem winien. Jam nie chciał róść na człowieka. (*szlocha*)

(*Karliki go obstępują, niektóre dotykają nieśmiało palcami i ze zdziwieniem spoglądają po sobie, nie rozumiejąc jego płaczu*)

Scena druga.

Ci sami i Wędrowiec

(*Z za sceny słychać głos młodzieńczy. Karliki przerażone z początku nadsłuchują, poczem uciekają do Jaskini, lecz nie chowają się w niej zupełnie, tylko tulą się do siebie u wnijścia*).

WĘDROWIEC: (*śpiewa z za sceny na nutę mazurka Wieniawskiego „Obaczyłem śliczną rybkę w Wiśle"*)

Kto pokochał blaski słońca złote,
Temu ciężko żyć bez światła w mroku.
Cóż ukoi żal w nim i tęsknotę,
Gdy wciąż siada cień chmury na oku.
O, nie daj ty, słoneczko złociste,
Ponad światem zapanować chmurze,
Swym promykiem mroki spędzaj mgliste
I nad ziemią króluj wiecznie w górze!

WĘDROWIEC: (*młodzieniec piękny, pogodny, wdzięcznie odziany — wchodzi powoli*).

STRAŻNIK: *który wsłuchiwał się z zachwytem, teraz na widok Wędrowca woła z radością i zdumieniem*) Ach, człowiek, człowiek tu idzie!

WĘDROWIEC: (*nie widząc jeszcze nikogo*) W jakiż to kraj wszedłem ciemności! Więc jeszcze nie wszędzie światłość zapaliła Jasna Pani?... Ale tu chyba ludzie nie żyją.

STRAŻNIK: (*rozpaczliwie*) Karliki tylko, ciemne Karliki!

WĘDROWIEC: Jakiś głos ludzki słyszałem... (*rozgląda się*) Ale gdzie, skąd?... Ciemno dokoła, nic nie widzę.

STRAŻNIK: Tu, tu, człowieku z jasnego świata! (*podchodząc do Wędrowca*) Wstąp do Jaskini Ciemności.

WĘDROWIEC: Podaj mi rękę, bo oczy moje tylko w świetle widzieć umieją, a w ciemności trafić nie mogą.

STRAŻNIK: (*prowadzi go przed kamień, na którym przedtem sam siedział*) Pójdź, pójdź bliżej.

WĘDROWIEC: Gdzie jestem?

STRAŻNIK: W królestwie głupoty i ciągłej nocy.

WĘDROWIEC: Ciągłej nocy... A tyś kto, mój chłopcze?

STRAŻNIK: Ja.. ja.. panie... istota, która nie stawszy się człowiekiem, skarlała.

WĘDROWIEC: I co tu robisz?

STRAŻNIK: Służę... służę... u głupich karlików.

WĘDROWIEC: O, biedny! jakto, więc wolisz być służką w smutnej krainie ciemności, niż w orszaku Jasnej Pani weselić się blaskiem słońca?

STRAŻNIK: (*błagalnie*) Mów mi o niej, panie, bo choć wrócić mi tam nie wolno, ale zapomnieć o niej nie mogę. O, mów, a może i te ciemne stworzonka, co puścić mnie nie chcą od siebie, zapragną także poznać Jasną Panią.

WĘDROWIEC: (*siadając*) Dobrze, odpocznę trochę, choć mi tu duszno i ślepną mi oczy w ciemności.

(*Karliki wyłażą powoli z Jaskini i siadają, przykucnąwszy na ziemi w oddali od Wędrowca*).

STRAŻNIK: Powiedz mi, przebiegaż ona ciągle świat, jak dawniej, z świetlistą lampą w dłoni?

WĘDROWIEC: (*z zapałem*) Ach, jako ta jutrzenka spędzająca mroki nocy, tak Jasna Pani płoszy wszędzie cienie czarne... A kiedy tylko błyśnie światłem, ziemia pięknieje, ludzie się weselą i pieśń śpiewają na jej chwałę.

STRAŻNIK: (*zwracając się ku Karlikom*) Słyszycie, słyszycie! Jasna Pani chodzi wciąż po świecie.

KARLICZKA I: (*mrucząc*) Niech tu nie przychodzi.

WĘDROWIEC wpatruje się ciekawie w stronę Karlików.

STRAŻNIK: Słyszałeś, panie, Karliki jej nie chcą!

WĘDROWIEC: Bo jej nie znają, w ciemności tylko żyjąc. A ona przecież jak królowa — rozdaje ludziom, co jej pragną, skarby bezcenne. Temu światy odkryje nieznane, tamtemu skrzydła przypnie do ramion — i wzleci człowiek jak ptak aż pod niebiosa.

STRAŻNIK: (*oczarowany*) Jak ptak! Słyszycie, Karliki, człowiek latać może jak ptak!

KARLIK I: My wolimy żyć w ziemi.

WĘDROWIEC: I w ziemi głęboko, gdzie tylko dosięgnie jej światło, ciemność ucieka strwożona.

KARKIK II: My nie chcemy światła!

WĘDROWIEC: Ona drogę zmierzyła do słońca i biegi gwiazd poznała...

KARLIK II: (*gniewnie*) Nam dróg słonecznych nie trzeba.

WĘDROWIEC: Ona i w głębie morskie zajrzała... otchłanie wody zmierzyła...

KARLIK III: My się wodą nie myjem.

WĘDROWIEC: Ona sprawi, że z dwu krańców świata ludzie się usłyszą, zobaczą, gdy ona połączy. Jeden stąd zawoła, a drugi słuchać go będzie hen, z za gór wysokich, z za morzem głębokiem. Tak to Jasna Pani zbliża ludzi dalekich.

KARLICZKA III: My nie chcemy ludzi, nam dobrze samym.)C. d. n)

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

CZĘŚĆ PIERWSZA: Smutny garbusek.

Słońce płynąc nad wyspą Jawą, paliło ją ogniem podzwrotnikowego upału. Dokuczało ono ludziom i zwierzętom już od chwili, gdy ledwie pierwsze promienie padły na archipelag Zundzki od strony oceanu Wielkiego. To też z prawdziwą ulgą zaczęto oddychać, kiedy ogromna tarcza złocista z błękitnego nieba zsunęła się nad ocean Indyjski i rozsypując wokoło siebie pył pomarańczowy miała wśród tej łuny jaskrawej zniknąć jakby w toni morskiej.

Mieszkańcy Batawji, stolicy wyspy, którzy, o ile mogli, kryli się po domach przed straszną spiekotą dnia tego, teraz dopiero wybiegali na ulice, by załatwiać swoje interesy. Ruch ożywiał się z każdą chwilą. Wielkie sklepy Holendrów na bogatszych ulicach i liche kramy Chińczyków na nędznych przedmieściach zapełniały się tłumem kupujących, wśród wielkiej wrzawy, jaka cechuje miasta azjatyckie.

O takiej godzinie w pałacy u Anglika Willingtona, położonym w najwyższym punkcie miasta, służba podnosiła w oknach rolety. Jednocześnie na balkon, wiszący pod smukłą wieżyczką, wyszedł po skończeniu lekcji trzynastoletni synek właściciela, mały garbusek. Ciężko dysząc, oparł się o poręcz ozdobną a wygodną i wzrok swój smutny skierował w dół, gdzie jak na dłoni miał u stóp całą Batawję. Dom ojca jego w śródmieściu otaczały podobne do niego wille bogatych kupców i plantatorów, przeważnie samych Europejczyków, a każda z nich obwiedziona pięknym ogrodem, tonęła w zieleni bujnej podzwrotnikowej roślinności.

Dalej po przedmieściach kupiły się jedne do drugich małe i brudne domy Malajów i Arabów, wśród których było widać mnóstwo kramów chińskich.

Z balkonu roztaczał się widok niezmiernie rozległy i na okolicę miasta. Więc mały kaleka, w ostatnich blaskach zachodzącego słońca, wodził oczami po starannie uprawnych a podmokłych polach ryżu i trzciny cukrowej i ciągnących się dalej nad niemi wzgórzach z plantacjami kawy i herbaty.

Na krańcach widnokręgu tu i ówdzie, dymiły się w oddali wulkany, których na Jawie, na przestrzeni przeszło stu tysięcy kilometrów kwadratowych, znajduje się aż kilkadziesiąt. Sprawiają one nieraz straszne spustoszenia, niszcząc wokoło cały dobytek ludzki. A jednak ludzie, jakgdyby się wcale nie lękali ich działania, zapełniają tłumnie tę najżyźniejszą z wysp azjatyckich, z której zrobili jeden z najbogatszych krajów na kuli ziemskiej, a zarazem najgęściej zaludniony. Do tych stożkowatych kominów, co wiecznie dymiąc i mrucząc złowrogo, wyrzucają z głębi ziemi potoki lawy z kamieniami, przywykli już brunatni mieszkańcy Jawy; przywykli też za przykładem Malajów europejscy mieszkańcy tej cennej kolonji holenderskiej. Gotowi są narażać się na częste, jak nigdzie indziej, wybuchy wulkaniczne, byle tylko zdobywać niewyczerpane bogactwa, jakie daje im wyspa Jawa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązanie figielka z n-ru 1-go: Za — gad — ka.